



Zbigniew Osenkowski (Polska),
„Cerkiew greckokatolicka w Czerteżu k/Sanoka

ganizowania w dniu otwarcia każdorazowej edycji – indywidualnej wystawy poprzedniemu laureatowi pierwszej nagrody, nieprzerwane przewodniczenie jury konkursowemu przez Andrzeja Niekrasza, eleganckie prowadzenie uroczystości otwarcia imprezy. Należy powiedzieć, że realizowane w dwuletnim cyklu ostrowskie biennale małej formy graficznej i ekslibrisu, nie tylko ze względu na wysoki poziom artystyczny, warte jest pogłębionego zauważenia.



Chrystus w białym skafandrze

Cisza cisz. Czegoś takiego nie mogliby wykombinować nawet spece od milenijnej pluskwy. W tej ponadciszy rozciągniętej smugą mroźnej mgły nad Świsłoczą, otulonej resztkami śniegu z jednej, a ciepłem bijącym z kominka z drugiej strony; w tej ciszy cisz wypemnionej zapachem brzożowego drewna, łagodną pieśnią wiatru w nadbrzeżnym sitowiu i pragnieniami nadchodzących dni; w tej ciszy tak cichej, że nie do usłyszenia nic oprócz bicia serca, nawet wiadomość o dymisji Jelcyna nie robi większego wrażenia. Nikt nie zauważył mimowolnego spojrzenia w stronę rzeki, nie usłyszał myśli, czy aby nie stoją tam czolgi. Ale czy myśli można słyszeć?

Dlaczego w tę noc uciekli w ramiona rzeki i w ciszę nadgranicznych łąk? Dlaczego chcą być nie w Paryżu, na Majorce, w Rzymie, tylko tutaj? Co kazało przyjechać tu Hendry'emu i Hal, skoro właśnie w tę szczególną noc mogliby być w dowolnym miejscu kuli ziemskiej? Cisza?

A Ben i Kris? Przecież tutaj nie ma nawet ciepłej wody /mroz chwycił niespodziewanie i wywaliło cały podgrzewacz/, prysznic, wygodnej sofę przed telewizorem i kochanego łóżka? Ben w smokingu, czarnym pasie na biodrach i muszce, a za oknem sąsiad w starej kufajce pamiętającej sowchozy.

Stanley sceptyczny. Może z winy ciśnienia, które coraz bardziej daje się w znaki. Jemu, Inżynierowi, Andrzejowi. Wiek zawałowców może być ostrożnym nie tylko w tę noc. Boi się chodzić na grób ojca tylko dlatego, że w Jego alejce leżą bliskie roczniki – 55, 59, 57, 56. Może to chęć ucieczki przed takimi myślami sprowadziła ich właśnie tutaj.

Pięknie wyglądają. Wieczorowe suknie pań, smokingi, czarne garnitury panów, krawaty, muszki, białe koszule. Świece na stole i trzaskające w kominku szczapy brzozy. Nawet pechowa trzynastka nie psuje wrażenia. Wiedział bez liczenia – trzynaścioro. I bał się myśli, że to nie-dobra wróżba na nowe stulecie? A myśli trzeba się bać.

Odgłos strzelających korków od szampa na nie wraca echem zza rzeki. Wpadł gdzieś pewno na patrol i został aresztowany za nielegalne przekroczenie granicy. Na szczęście fajerwerki szybują prosto w górę. Gdyby poleciały ponad łąką na tamtą stronę mogłyby wrócić w innej postaci. I doszłoby do pierwszego w nowym stuleciu incydentu na granicy NATO:

„Grupa terrorystów pod płaszczykiem obchodów Sylwestra szpieguje dla wojsk amerykańskich na granicy Związku Białorusi i Rosji !!!” Piękny tytuł. Oczywiście, że w gazetach Mińska i Moskwy. A w Warszawie? Może jakoś tak: „Koalicja bezradna wobec ataku rakiet ZBIR-a na wydlnioną nadgraniczną wieś”. I koniecznie podtytuł: „Sylwestrowe fajerwerki przyczyną konfliktu zbrojnego”.

Stanley odpala prosto w górę. I to z jakim kunsztem. Najpierw syk palącego się lontu, później głośniejszy szum pikującej w górę rakiety, pięknie wysoko nad głowami – i wreszcie fontanna kolorów rozlewająca się nad śpiącymi dachami, wpadających do opuszczonych studni, pustych bocianich gniazd, na zaśniężone drogi, na sągi porąbanego drzewa i spłoszone, głodne koty.

Pozazdrościły gwiazdy, schowały się za chmury. Nawet księżyc z niedowierzaniem kręci nosem. Brzoza w ogrodzie aż westchnęła z wrażenia, klasnęła wtkami raz i drugi, przewróciła pukiel włosów na drugi bok i dalej zapadła w sen. A oni zapadają w uściski pełne życzeń, w pocałunki mniej i bardziej gorące, jak gdyby chcieli zapaść w ciszę tej nocy bez opamiętania, bezwarunkowo, nie pytając – kiedy i gdzie obudzą się następnego dnia. Czy może nie być następnego dnia?

Dzwonią komórki, a w nich bliscy, drodzy, kochani. I zdziwieni, że świat jest na swoim miejscu, działają telefony, gra muzyka, płynnie woda, latają samoloty, kochają się ludzie. Świat się nie skończył!

Wtulił się w jej rozgrzane ciało z uczuciem ogromnej ulgi. Smakowała tak samo, a jednak inaczej. Jeszcze tylko podrzucić do kominka...

A jednak zasnął. Kominek wystygł. Zaspali wszyscy. I tylko dzięki dzieciom uwieszonym komórek wiedzieli, że z wielkiej pluskwy ostał się wielki dym. Rzeczywiście (Inżynier) wszyscy ci spece od pecetów i sieci muszą mieć niezłego kaca.

Noworocznego postanowili leczyć piwem i porcją flaków w barze w sąsiedniej wsi. Spacer, błahe trzy kilometry, a jednak i pierwszy, i drugi kufel smakuje rewelacyjnie. Droga do Gieniowego przybytku nigdy nie wydawała mu się tak okrutnie długa. Prosy leciutki śnieżek, nawet wiatru nie ma, momentami zza chmur prześwituje słońce. Przypomniał sobie słowa matki – jaki dzień Nowego Roku, taki i cały rok.

Prosy śnieg, cisza wymiata z głowy resztki nocnej muzyki, stado wron bije się o skrawek padliny; w dół, w stronę rzeki – krajobraz jak z pocztówki. Gdyby spadł większy śnieg, byłoby jeszcze piękniej.

Latem, wczesnym rankiem, wśród rozkrzyczanych skowronków jeździł tędy z córką na rowerach. Od rzeki chłodny powiew wilgoci, od pola zapach dojrzewającego zboża, od strony wsi pianie kogutów i skrzypienie studni. Sąsiadka

przyszła po wodę. Żwirówka jeszcze nie za mocno wypalona słońcem, koła nie grzęzną w piasku, z górki i pod górkę, ze śpiewem ptaków i krzykiem jej przestachu. A na górce, przy starej, dzikiej gruszy, odpoczynek. Powrót. Szklanka zsiadłego mleka, kawałek drożdżówki.

Już dawno mała miska flaków nie smakowała mu tak bardzo. Dwa kufle grzanego piwa poprawiły nastrój na tyle, że zrobiło się ciepło i zapomniał o bólu gardła. Frytki dla pań, flaki dla panów. No i oczywiście piwo. Przesiedzieć choćby i cały dzień. Nie mieli ochoty wracać pieszo. Przydał się Gienkowy Musso, a zwłaszcza jego bagażnik. Skuleni za siedzeniami, amortyzując jak się da nierówności drogi, namówieni przez Hendry'ego, łapią z gwinta po dużym łyku, a później jeszcze po jednym. Na trzeci już zabrakło.

Prywatny przedsiębiorca od jakichś trakcji, współwłaściciel dużej firmy, którą interesuje się zachodni kapitał, no i on... (ani prywatny, ani kapitał, ani wschód, ani zachód, czort jeden wie, co znaczy tych kilka wierszy) w bagażniku Gienkowego auta świętują Nowy Rok. Wyspali się z Musso, słońce wysoko, rzekę widać jak na dłoni, dziś nikt już nie pamięta, kto rzucił hasło: – Na granicę!

Kurde (myśli sobie) właściwie to i dobrze, niech się przejdą, zobaczą, może żaden diabeł już nigdy ich tu nie przyciągnie. Granica NATO, za kilka lat granica Unii. Niech zobaczą z bliska, niech zanurzą dłonie w czystej wodzie, posmakują. Nawet jeśli jutro zapomną. Albo, czego nie można wykluczyć i czego bardzo pragnął, przez lata pamiętać będą.

Przeszał prosić śnieg. Biała cisza łąki. Tablica z napisem „Granica państwa. Przekraczanie zabronione” największe wrażenie robi na dziewczynach. – Jesteś pewny, że idziemy dalej? A jeśli po drugiej stronie zaczną strzelać?

Droga urywa się tuż nad brzegiem, na skarpię. Słup graniczny jakby odnowiony. Ma takie zdjęcie zrobione po drugiej stronie wsi: Tablica z napisem jak wyżej, a na niej suszące się stare gacie. Chciał kiedyś wysłać na konkurs Polityki. Zapomniał.

Skarpa niewielka, a zadyszka, że hej. Spoglądają na drugi brzeg. A tam, nad samą wodą, facet w białym ortalionowym skafandrze, nieco dalej terenowy gazik, również biały. Dziewczyny w pisk, chcą wracać, lecz po chwili wahania facet zamiast po kałasnikowa sięga po moknący w wodzie długi, drewniany drag. Na jego końcu dwa poprzecznie umocowane kije, już nieco krótsze, a między nimi siatka, w której trzepocą błyszczące w styczniowym, zmierzchającym słońcu, trzy, może cztery ryby. Pierwszy odzywa się Hendry (w końcu myśliwy, a więc bratnia dusza, odzywa się po rosyjsku, albo tak mu się wydaje):

– S nowym godom! Wsiewo charoszewo!

– Spasibo, pan – (z tamtej strony) – ale mówcie po polsku. I śmieje się. Oni też, choć tak naprawdę nie wiedzą z czego, ani dlaczego.

– To jak ryba, bierz? (dalej Hendry).

– Ot, jak widać. Całkiem tak sobie – odpowiada Biały Skafander i ponownie zarzuca w wodę drewniany drag, po czym idzie kilka kroków wzdłuż brzegu i wyjmuje drugi, zupełnie taki sam.

– O, kurde – wzdychają jak na komendę, bo w siatce tym razem sześć, albo i więcej srebrzystych pasków.

– Ty ochotnik? – pyta Hendry.

– Nie, ochotniki tam – pokazuje palcem na las i dokładnie w tej chwili słychać dwa, jeden po

(Dokończenie na stronie 13)